



Anna Nasiłowska

Jean-Paul
Sartre

Simone *i*
de Beauvoir

Anna Nasiłowska

Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67950-45-9

Copyright © Anna Nasiłowska

Tekst: Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006

Spis treści

[Kim byli?](#)

[Cierpienia młodości](#)

[Układ](#)

[Lata trzydzieste](#)

[Literackie zwierciadła Olgi i historia Bianki](#)

[Wojna](#)

[Koniec okupacji](#)

[Egzystencjalizm](#)

[Miłości transatlantyckie](#)

[Feministka i antyambasador](#)

[Starość](#)

[Co pozostało?](#)

Kim byli?

Nigdy nie byli małżeństwem. Nigdy nawet nie mieszkali razem. Nigdy nie przysięgali sobie wierności i, co więcej, oboje w trakcie trwania związku przeżyli wiele dramatycznych historii miłosnych z innymi partnerami.

Ich nazwiska wymawia się razem: Sartre i de Beauvoir, de Beauvoir i Sartre. Nazwiska, nie imiona: Jean-Paul i Simone, bo byli filozofami, autorami głośnych książek, ludźmi pióra. Tworzyli wyjątkową parę partnerów intelektualnych, ale łączyły ich nie tylko dyskusje i problemy. Byli przekonani, że w sferze związków międzyludzkich są pionierami i że to, co ich łączy, jest wyjątkowe, autentyczne i nie ma swojej nazwy, bo wszystkie dotychczasowe nazwy były odzwierciedleniem społecznych układów. Nawet określenie „wolna miłość” nie bardzo do nich pasuje. W najlepszym razie wolna miłość to niesformalizowany związek, który trwa, póki odpowiada to obu stronom, a kończy się, gdy któreś z partnerów mocniej zaangażuje się uczuciowo z kimś innym. Oni jako para przetrwali i to. Rozdzieliła ich dopiero śmierć.

Wśród słynnych par kochanków Tristan i Izolda dają początek wielkiemu mitowi miłości w literaturze francuskiej. Simone de Beauvoir była zafascynowana tą opowieścią. Zawsze podkreślała burzycielski charakter tej miłości. Izolda, aby kochać Tristana, musi sprzeniewierzyć się królowi Markowi, z którym łączy ją prawo, obowiązek i porządek władzy. Tristan, aby być z Izoldą, musi złamać feudalny kodeks wierności wobec swego pana, sprzeciwić się rozkazom i podeptać zakaz cudzołóstwa. Miłość nie mieści się w świecie ustalonych reguł społecznych, które zazwyczaj nie biorą pod uwagę jej istnienia. Zdaniem de Beauvoir, jest zawsze wywrotowa.

Związek Simone de Beauvoir i Jean-Paula Sartre’a też był burzycielski i anarchiczny. Nie był jednak współczesnym wcieleniem mitu o Tristanie i Izoldzie. Postępowanie dawnych kochanków usprawiedliwia wypicie przez nich napoju miłosnego. Od tej pory nie mogli już świadomie kierować swoim postępowaniem, byli we władzy zaklęcia. Piękna baśń z przeszłości to historia miłości nieszczęśliwej, wielkiej i jedynej. Dwoje przeznaczonych sobie ludzi szuka się przez całe życie, a okrutny los ich rozdziela.

Sartre z całą pewnością nie był Tristanem. Bliżej mu do Don Juana. Niezdolny skoncentrować się na jednej kobiecie, namiętnie uwodził, zwłaszcza młode dziewczęta. Pociągała go ich różnorodność: blondynki, brunetki, rude, Francuzki, Słowianki, egzotyczne piękności. Wielością podbojów kompensował swoją fizyczną brzydotę. Był niski, z widocznym zezem, ale jego inteligencja, pewność siebie i cynizm robiły wrażenie na kobietach. Simone de Beauvoir była dość wysoka, ciemnowłosa, harmonijnie zbudowana, o klasycznych, regularnych rysach. Sartre był jej pierwszym mężczyzną, partnerem życiowym, ale nie jedynym. Przyjaźniła się z wieloma kobietami i nie stroniła od mężczyzn, a niektórych z nich nawet bardzo kochała. Sartre był jednak najważniejszy.

Nie wierzyli w to, co jest podstawą mitu o Tristanie i Izoldzie: w los i przeznaczenie. Filozofia egzystencjalna, według formuły Sartre’a, mówi, że egzystencja poprzedza esencję. Najpierw się jest, żyje się w określonej sytuacji, dopiero potem można nadawać temu faktowi znaczenia, wybierając własny sposób bycia. Nie istnieje nic takiego, danego z góry, co dałoby się określić jako „przeznaczenie”. Żaden „los” nie każe mężczyźnie i kobiecie być razem, a magiczne napoje zdarzają się tylko w bajkach. Ludzie są wolni, ale nie potrafią poradzić sobie z tym faktem. Nie umiając ze swej wolności uczynić dobrego użytku, powołują się na tajemniczą wyższą konieczność, która ma zdjąć z nich poczucie odpowiedzialności. Szukają poza sobą usprawiedliwień dla własnych wyborów albo zachowują się stereotypowo, padając ofiarą społecznych konwencji. A oni chcieli być wolni. Niczego nie pragnęli tak bardzo jak wolności.

Jest takie powiedzenie: nie można jednocześnie zjeść ciastka i dalej go mieć. Im jednak się udało to, co przeważnie wydaje się nie do pogodzenia. Byli wolni przez całe życie: wciąż w poszukiwaniu nowych przygód miłosnych, otwarci na to, co może się zdarzyć. A jednocześnie – nigdy nie byli samotni, pozostawali razem, wspierali się, byli dla siebie partnerami. Swoją związek określili jako „miłość konieczną”. Wszystkie inne miłości nazywali przygodnymi. Przyznawali im rolę drugorzędną. Nie wzięli pod uwagę jednego: że ich wolność wchodzić będzie w kolizję z uczuciami innych osób. Krzywdzili więc wszystkich, którzy pokochali ich w sposób zbyt prosty, bez zastrzeżeń. W życiu wielu kobiet i mężczyzn odegrali złowrogą, destrukcyjną rolę.

Wciąż widywano ich razem. Przez ponad pięćdziesiąt lat łączyły ich silne więzy, choć namiętność nigdy nie była podstawą tego związku, a kochankami byli jedynie przez kilka pierwszych lat. Spędzali czas w kawiarni, razem jadali obiady, podróżowali, udzielali sobie pomocy, dyskutowali o swoich książkach i wspólnie dokonywali zmian w tekstach, które oddawali do druku. Wspierali się w zdrowiu i w chorobie. Nie złamali zasad lojalności, które zostały określone na początku. Powiedzieli sobie wtedy, że przede wszystkim muszą wykluczyć kłamstwo. Mają pozostać dla siebie nawzajem przezroczyści. Bo poza wolnością pragnęli także prawdy i niczego nie nienawidzili tak bardzo jak hipokryzji i zakłamania. Opowiadali więc sobie o wszystkim, także o swoich „okazjonalnych” partnerach. Zdarzyło się tak, że on musiał niszczyć jej listy, w obawie, by nie przeczytała ich aktualna kochanka. Bronił się przed żądaniami małżeństwa ze strony kolejnych kobiet i kilkakrotnie musiał zrywać, gdy „te drugie”, przygodne kochanki niecierpliwie domagały się legalizacji związku. Ona poświęciła dla Sartre’a swoją największą miłość. W zamian za to nazywano ją „La grande Sartreuse” lub „Notre-Dame de Sartre”.

Simone de Beauvoir była przekonana, że tym, co nowe w ich związku, była absolutna równość między kobietą a mężczyzną, a więc to, że ona jako kobieta korzystała z takiego samego zakresu swobody jak on. Nie wydaje się, żeby właśnie to było nowe: wiele kobiet reprezentujących elity intelektualne żyło w sposób wyjątkowy i wolny, wystarczy wspomnieć tu o osiemnastowiecznych arystokratkach czy Aurorze Dudevand, bardziej znanej pod pseudonimem George Sand. Tym, co rzeczywiście nowe, wydaje się trwałość związku, umiejętność zachowania równowagi wobec kryzysów emocjonalnych oraz fakt, że udało im się wyeliminować zazdrość. Dzielili się sprawami, z których wiele par musi czynić wobec siebie pilnie strzeżoną tajemnicę z obawy, by prawda o braku wyłączności miłosnej, o uczuciach wobec innych nie okazała się zabójcza dla tego najważniejszego związku.

Skądinąd wiemy, jak groźny bywa demon zazdrości. Potrafił niszczyć harmonię nawet tych małżeństw, które pozostały sobie wierne i w sferze faktów nie miały sobie nic do zarzucenia. Simone de Beauvoir i Sartre’owi udało się obłaskawić niszczycielskiego demona.

Tyle – apologii. To, co niedobre, stopniowo ujawniać się będzie w ciągu opowieści. Simone de Beauvoir i Jean-Paul Sartre byli najbardziej znaną parą intelektualnej Francji po drugiej wojnie światowej. Symbolem rewolucji obyczajowej, ikoną egzystencjalizmu.

Przy cytowaniu dzieł Simone de Beauvoir i Jean-Paul Sartre’a korzystałam z istniejących polskich tłumaczeń. Wspomnienia Simone de Beauvoir cytuję w przekładzie Hanny Szumańskiej-Grossowej (*Pamiętnik statecznej pani* i *W sile wieku*), a kolejny tom (*Silą rzeczy*) w przekładzie Jerzego Pańskiego. Odwołując się do *Drugiej płci* Simone de Beauvoir, korzystam z przekładu Gabrieli Mycielskiej i Marii Leśniewskiej. Fragmenty jej powieści *Mandaryni* przytaczam w przekładzie Aleksandry Frybesowej i Ewy Krasnowolskiej. Dzieła literackie Sartre’a cytuję w przekładach Juliana Rogozińskiego (*Drogi wolności* i *Słowa*, przy czym przekład tej ostatniej pozycji ma luki), oraz Jacka Trznadla (*Mdłości*). Fragmenty *Huraganu nad cukrem* przywołuję w tłumaczeniu Zbigniewa Stolaraka. Fragmenty listów Sartre’a i de Beauvoir przytaczam we własnym przekładzie, poza jej korespondencją z Nelsonem Algrenem – tu cytuję za polskim przekładem Jolanty Kozak.

W kilku przypadkach odchodzę od decyzji polskich tłumaczy. I tak *amours contingenes* oddaję jako „miłości przygodne”, a nie „przypadkowe”. Odwołując się do pism filozoficznych obojga – korzystam z oryginałów francuskich.

Cierpienia młodości

Mówi się, że podstawą każdego udanego związku są podobieństwa. Przeżycia z dzieciństwa Jean-Paul Sartre'a i Simone de Beauvoir nie były bardzo podobne. Oboje opowiedzieli je w swoich książkach: w *Pamiętniku statecznej pani* Simone de Beauvoir i w *Słowach* Sartre'a. Ona opisała swoje dzieciństwo i wczesną młodość jako trudny okres uwalniania się od przesądów środowiska a także walkę o ocalenie swojej indywidualności, której ukoronowaniem stało się poznanie Sartre'a. On użył ironii i autoironii, aby pokazać, że prawie wszystko w jego życiu było grą przypadku, a jego los nie ma w sobie żadnej żelaznej logiki wiodącej od zdolnego dziecka ku geniuszowi, lecz cechuje go dziwność i absurd.

Istnieje też francuskie przysłowie: przeciwieństwa się spotykają, ale i ta utarta prawda nie ma tu zastosowania. Podobieństwo poglądów, urazów i wyborów nie zawsze ma wspólne przyczyny. W jego życiu ojciec nie odegrał żadnej roli, ja w dzieciństwie dominujący ojciec naznaczył kompleksami. Jego uważano w rodzinie za cudowne dziecko, ja – za dziwaczne zjawisko, dziewczynkę o męskim typie rozumowania. Wreszcie wyrosli: ona na przyciągającą wzrok brunetkę o świetlistej cerze, niebieskich oczach i regularnych rysach, a on – na bardzo brzydkiego mężczyznę, o dysharmonijnej twarzy z martwym okiem. Ich inteligencja była podobna. Pochodzili z podobnej sfery, francuskiego mieszczaństwa, które na początku wieku dwudziestego jeszcze walczyło o swoje poczucie wyższości i dominacji w społeczeństwie. Oboje wynieśli ze swoich wczesnych doświadczeń rodzinnych obrzydzenie wobec swojej sfery i chcieli odciąć się od świata, w którym wyrosli.

Jean-Paul był przede wszystkim synem panny Anne-Marie Schweitzer. „Mój ojciec? Był tylko fotografią w sypialni mojej matki” – napisał kiedyś Sartre. „Nigdy nie miałem ojca” – stwierdził kiedy indziej. Gdy opowiadał o tym w latach studenckich, jego koledzy żartowali, że jest pewnie efektem związku matki z czystym Logosem.

Jean-Baptiste Sartre, ojciec, jednak istniał i biografka Sartre'a Annie Cohen-Solal zdobyła na to mocne dowody. Był trzecim dzieckiem urodzonym w zamożnej rodzinie lekarza z Perygord, w której kultywowano miejscowe tradycje, jak tuczenie gęsi na pasztet z gęsiej wątróbki i szukanie trufli do słynnego na całą Francję, perygordzkiego omletu. Perygord to też legendarna kraina trubadurów, miejsce narodzin miłosnych pieśni i poezji. Jean-Baptiste marzył o czymś zupełnie innym. Studia w École Polytechnique w Paryżu przyniosły mu znajomość matematyki, rysunku, architektury i astronomii, potem zdecydował się na wstąpienie do marynarki. Lata ostrego konfliktu między Wielką Brytanią a Francją spędził pływając na Środkowym Wschodzie na statku noszącym filozoficzne imię: Descartes (czyli Kartezjusz). Ostatecznie, po dwóch latach służby jako oficer nawigacyjny, był rozczarowany i wyczerpany; problemy ze zdrowiem kazały mu rozstać się z marzeniem o dalszej karierze na dalekich wodach. W tym regionie częste były epidemie chorób tropikalnych, jego zaatakowała żółta febra. W grudniu 1899 roku wylądował w Marsylii, by trzy następne miesiące spędzić w szpitalu w Tulonie. Przypadkowa wizyta w rodzinie Schweitzerów w Cherbourgu okazała się bardzo poważna w skutkach: poznał tam dwudziestojednoletnią Annę Marię, którą w rodzinie zwano You. „Anna Maria, młodsza córka, spędziła dzieciństwo na krześle. Nauczono ją nudzić się, trzymać się prosto i sztywno. Miała talenty – uznano, że będzie w dobrym tonie zostawić je odłogiem; była urodziwa – postarano się ukryć to przed nią” – napisał jej syn. Swoją dawną urodę odkryła w starości, przyglądając się dawnej fotografii.

5 maja 1904 roku w Paryżu Jean-Baptiste Sartre i Anne-Marie Schweitzer zawarli małżeństwo. On był niski, schorowany, ona – piękna, wysoka. Nie dane im było cieszyć się stabilizacją, Jean-Baptiste znów pływał, bliżej, bo po Morzu Śródziemnym, ale dalsze problemy zdrowotne, przede wszystkim uporczywe migreny, kazały mu poważnie niepokoić

się o przyszłość. Tym bardziej że 21 czerwca 1905 roku w Paryżu narodził się syn Jean-Paul. Wkrótce potem ojciec i dziecko ciężko zachorowali. Stary doktor Sartre troskliwie zajął się synem i wnukiem, ale zdołał uratować tylko tego ostatniego. Jean-Paul Sartre w wieku piętnastu miesięcy stracił ojca. Odtąd jego edukacją i wychowaniem zajmowała się matka i dziadek Schweitzer. „Strona ojca” jakby przestała istnieć. I tylko Anna Maria, jak twierdził jej syn: „musiała się zastanawiać, dlaczego ten obcy mężczyzna wybrał śmierć w jej ramionach”. Nie poznała męża dobrze ani przed ślubem, ani po nim.

Schweitzerowie byli Alzatzczykami: mówili dialektem alzackim, byli protestantami i jako ludzie dobrze wykształceni tak samo dobrze posługiwali się językiem francuskim jak niemieckim. Uważali, że talent muzyczny jest przypisany ich rodzinie, gra na instrumentach była ich pasją. Z tej samej rodziny pochodził Albert Schweitzer, lekarz, teolog protestancki i misjonarz, znawca i wykonawca muzyki Bacha oraz laureat pokojowej Nagrody Nobla z 1952 roku. Ojciec Anne-Marie (Charles, czyli Karl) w latach wojny francusko-pruskiej wybrał obywatelstwo francuskie i ożenił się z katoliczką. W młodości porzucił teologię protestancką po kilku latach w seminarium i został filologiem. Swój doktorat poświęcił Hansowi Sachsowi, siedemnastowiecznemu muzykowi, śpiewakowi i poecie. Opracował podręcznik do nauki niemieckiego i nowoczesną metodę nauczania angielskiego i niemieckiego. Aby wnukowi zapewnić dostatek, założył już na emeryturze szkołę językową w Paryżu. Z dobrym skutkiem uczono tam francuskiego Niemców przybywających do stolicy Francji.

Mały Jean-Paul, zwany Poulou, wzrastał w rodzinie Schweitzerów w poczuciu szczęścia i pełni. Dziadek docenił jego inteligencję i zdolności, wcześniej zaczął indywidualnie uczyć go historii i języków a wnuk stał się jego ulubionym, najzdolniejszym, prywatnym uczniem. Odkrył jego talent do języków, zdolności literackie i elokwencję, myśląc o jego uzdolnieniach, odwoływał się nawet do tradycji trubadurów, ale przewidywał, że zostanie prawnikiem. Anne-Marie była dla Poulou jak starsza siostra, rodzice przyjęli ją tak, jakby teraz mieli dwoje dzieci, i nie traktowali jak dorosłej. Była od nich zależna. O pokoju, w którym mieszkała z Poulou, mówiło się „pokój dziecinny”. Grywała dla Poulou Chopina i Beethovena, licząc, że jak wszyscy Schweitzerowie chłopiec ma talent muzyczny. I rzeczywiście – dobrze grał, świetnie śpiewał, był wrażliwy na muzykę. Ogromna biblioteka dziadka – zaplecze jego studiów naukowych – zawierała francuską i niemiecką klasykę. Książki były „światem odbitym w lustrze”. Dziadek zachęcał wnuka do pisania, w ten sposób powstały pierwsze, dziecięce dzieła Sartre’a: *Dla motyla* i *Sprzedawca bananów*.

Cała rodzina podziwiała sukcesy cudownego dziecka, a najbardziej – matka. Dziewczynki, z którymi bawił się w dzieciństwie, mianowano natychmiast jego „narzeczonymi”. Niektórzy doszukują się tu klucza do całej dalszej historii Sartre’a jako kochanka. Nieobecność ojca oznacza w psychoanalizie brak Superego, instancji kontrolującej. Bezwarunkowy podziw rodziny i wyłączna miłość matki złożyły się na jego późniejszy immoralizm, poligamiczne skłonności, kreatywność i przekonanie o własnej wyjątkowości, która stawia go zawsze w centrum, ponad regułami. Cudowne dziecko pełniło w rodzinie rolę nowego wcielenia swego dziadka i zarazem ukochanego mężczyzny swojej matki. Wydawało się, że właśnie to służy mu najlepiej.

Raj dzieciństwa jest zawsze skazany na zagładę, nie zawsze jednak bywa ona nagła i dramatyczna. Mały Poulou wydawał się aniołkiem, ale gdy ostrzyżono mu jasne pukle – odstonił się brzydki, pokraczny chłopiec z silnym zezem. Jean-Paul musiał zacząć formalną edukację. W tym samym czasie trzydziestoletnia Anne-Marie, aby nie obciążać dłużej rodziców kosztami utrzymania (swojego i syna), wyszła za Josepha Mancy, bogatego przemysłowca. Przeprowadzili się do La Rochelle, gdzie ojczym był dyrektorem stoczni. Fotografia nieszczęśliwego żeglarza zniknęła z sypialni. Jean-Paul zawsze postrzegał ojczyma jako typowego przedstawiciela burżuazji, konwencjonalnego, bezmyślnego i

władczego. Przyznawał też, że ukrytym motorem napędzającym jego pisarstwo był zawsze sprzeciw wobec ojczyzny, którego obsadzał w roli wymagowanego przeciwnika wszystkich swoich tekstów. Kiedy piętnaście lat później Sartre związał się z Simone de Beauvoir, pan Mancy nie chciał nawet jej poznać, gdyż nie była ani żoną, ani formalną narzeczoną.

Miasto La Rochelle, stolica francuskiego kalwinizmu, także nie przypominało Paryża. Zamknięta mała społeczność, w której stosunki różnych rodów mają długą tradycję. A Jean-Paul Sartre wyniósł z tego okresu życia przekonanie, że małżeństwo to nic innego jak ubity na zimno kontrakt, degradujący dla kobiety i głęboko nieautentyczny jako związek.

Po dwóch latach w La Rochelle Jean-Paul wrócił do Paryża i zamieszkał w internacie. Tam odnowił znajomość z chłopcem, którego zapamiętał z klasy wstępnej. Byli podobni: kolega też był niski (choć nieco wyższy), z ironicznym uśmieszkiem błakającym się stale na wąskich wargach. Jego oczy były tak samo zezowate jak oczy Sartre'a! Nazywał się Paul Nizan i od dawna już wiedział, co chce robić w przyszłości: pisać. Lepiej niż Sartre znał najnowszą literaturę. Czytał utwory surrealistów. Poza tym Sartre chodził zawsze byle jak ubrany, a Nizan był elegancki i miał subtelny gust. Prezentował się jak mały dandys, ale miał wielkie zacięcie do nauki. Nie wyniósł z domu tak wiele, jego ojciec był skromnym inżynierem na kolei. To, co Sartre wyniósł z domu jako oczywisty składnik kultury, Nizan musiał dopiero zdobywać. Jego aktywność i zapał inspirowały Sartre'a. Obaj mieli już poglądy, popierali świecki model edukacji i walkę z podziałami społecznymi, inspirowała ich idea równości wszystkich ludzi, tradycja rewolucji francuskiej. Ćwiczyli się w greckich i łacińskich tłumaczeniach, byli świetni na lekcjach filozofii, a nauczyciel francuskiego uznał, że Nizan ma prawdziwe zdolności literackie, a Sartre – „wielki talent i oryginalność”.

Mieli szesnaście-siedemnaście lat, gdy spędzali całe wieczory nad Shakespeare'em, Homerem i Wergiliuszem, z zapałem dyskutowali o Flaubercie i Platonie, przygotowywali referaty, stosując się do zasad retoryki, które im wpajano. Sartre w żartach nazywał się Satyrem. W szkole stanowili nieodłączną parę przyjaciół, ku ich uciesze mówiono na nich: Nitre i Sarzan, mieszając ze sobą nazwiska. Czuli się braćmi, a nawet więcej niż braćmi, bo przecież bracia nie zawsze się rozumieją. W klasie maturalnej postanowili, że będą studiować filozofię w École Normale Supérieure. To znaczy, że mieli wielkie ambicje i uważali się za bardzo zdolnych, bo École Normale Supérieure to szkoła dla elity i aby się tam dostać, trzeba było przejść przez specjalną klasę przygotowawczą (dwa lata) i zdać konkursowy egzamin. Jeden z ich kolegów z okresu studiów w École, Raymond Aron, tak zapamiętał pierwsze wrażenie z gmachu przy rue d'Ulm: „Nigdy nie spotkałem tak wielu inteligentnych ludzi zebranych na tak małej przestrzeni!”

Wczesne dzieciństwo Simone de Beauvoir było dość szczęśliwe, choć w tle rozwijał się rodzinny dramat, który mocno zaciążył nad nią w wieku, kiedy szuka się swojego miejsca w świecie.

Simone Bertrand de Beauvoir urodziła się w 1908 roku w domu przy paryskim bulwarze Montparnasse, który stoi w miejscu, w którym przecina się on z bulwarem Raspail. Małżeństwo rodziców wydawało się dość dobrze dobrane, ale pozycja materialna rodziny pogarszała się. Ojciec jej matki, niegdyś bogaty bankier, zbankrutował. Z tego powodu posag matki nie został wypłacony. Sytuacja materialna ojca była trudna. Tymczasem nazwisko „Beauvoir” i partykuła „de”, przybrane do nazwiska Bertrand kilka pokoleń wcześniej, zobowiązywały do przestrzegania wymogów wyższej sfery. W salonach szeptano, że de Beauvoirowie się właściwie zdeklasowali, tym bardziej że bankructwo dziadka było skandalem publicznym i wiązało się z aresztowaniem. Usiłowano jeszcze zachowywać pozory, ale ojca Simone bardziej pociągało występowanie w teatrze amatorskim niż kariera adwokata, ku czemu miał wykształcenie. Miał wielkopańskie maniery, poczucie wyższości,

artystyczne zamięłowania i „de” przez nieznany nazwiskiem, które nie otwierało drzwi do tych właściwych salonów. Prace, które podejmował, nudziły go. Akcje, ulokowane w obiecujących duży zysk papierach rosyjskich, przepadły z powodu pierwszej wojny światowej i rewolucji bolszewickiej, która anulowała poprzednie zobowiązania. Musieli opuścić dawne mieszkanie, nowe było dużo mniejsze, ciasne, bez bieżącej wody, ale tańsze. Służąca została zwolniona, matka cerowała ubrania i robiła swetry na drutach. W dobrą passę wierzył już tylko wypuszczony z więzienia dziadek, zabierając się za kolejne przedsięwzięcia. Wszystkie – bankrutowały, ale on jeszcze na łożu śmierci powtarzał: „Mam pomysł! Będziemy bogaci”.

Dwie córki, starszą Simone i dwa lata młodszą Hélène (zwaną w rodzinie Poupette, czyli Laleczką), zapisano na pensję, aby mimo wszystko stały się „panienkami z dobrego domu”. Oczywiście, były szkoły publiczne, ale dla nich wybrano elitarną, tradycyjną katolicką szkołę Désir (*désir* – życzenie, ale także pożądanie). Nazwa szkoły pochodziła od nazwiska założycielki, Adeliny Désir, garbuski, która zmarła w opinii świętości. Pilnowano, aby duch równości dla wszystkich i racjonalizmu, panujący w szkołach publicznych, nie przeniknął na katolicką pensję. Siostry de Beauvoir były inteligentne, samodzielne i myślące. Zwłaszcza starsza, Simone. Tymczasem w szkole usiłowano zrobić z nich istoty konwencjonalne i podporządkowane. „Bóg umarł, kiedy miałam czternaście lat” – napisała Simone we wspomnieniach. Stało się to nagle, wcześniej była bardzo pobożna, zgodnie z zaleceniami katechety spowiadała się dwa razy w miesiącu. Po tym kryzysie katolicyzm zaczął być przez nią odczuwany jako forma pozbawiona wewnętrznej treści. Każdą relację z wycieczki czy uroczystości, pisaną jako szkolne zadanie, trzeba było kończyć słowami „Dziękując Bogu za dobrze spędzony dzień...” Siła konwencji.

Stopniowo jej los stawał się dla ojca oznaką jego życiowych klęsk. Nosiła ubrania po starszych kuzynkach i rzeczywiście czuła się źle w skórze podlotka. Jej racjonalizm i wcześniej rozbudzone zainteresowania intelektualne niepokoiły rodzinę, bo wydawało się, że powinna rozwijać w sobie zupełnie inne cechy, aby szczęśliwie (czyli: dobrze, bogato) wyjść za mąż jak inne dziewczęta z tej sfery. Tylko że ona nie miała posagu. Wiedziała, że będzie musiała pracować. Rodzina jednak nie robiła nic, by to jej ułatwić i przygotować ją na samodzielne wejście w świat, przeciwnie – piętrono przed nią ograniczenia.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI